



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartał. 5 marek.

## CZY LEPIEJ?...

Niby wiotka nić pajęcza,  
Jak leciuchna puchów szata—  
Z tchnieniem wiatru gdzieś ulata,  
Snów młodości jasna tęcza.

Tylko oko smutnie patrzy  
Przez łez żalu obłok mglisty,  
Jak się mieni łuk kolisty  
Coraz płowszy, coraz bledszy.

Niknie, gaśnie w cieniów toni,  
Aż gdy całkiem zginie wdali,  
To się serce wnet rozżali,  
Jak sierota w płacz zadzwoni.

Może nawet z bólu pęknie—  
Lecz gdy przetrwa ból ten dumnie,  
W piersi będzie niby w trumnie,  
Nie zapłacze już, nie jęknie...

Wszystko ginie w mgieł otchłani—  
Lepiej-ż sercu, co nie znało  
Snów kwiecistych, nie kochało,  
Bo sen pierzchnie, miłość zrani;

Co spowite klatką ciasną  
Wciąż się lęka ran bezdennych,  
Co nie goni gwiazd promiennych,  
By nie płakać, gdy zagasną?

Lepiej-ż, żyjąc bez tętn bicia,  
Mieć boleściom dni nieznane?...  
Czy zobaczyć sny rozwiane,  
Lecz po życiu pełnem życia?

O, nim prawdy zimna ręka,  
Zapał zmrozi, krew ostudzi  
Pozwól sercu—niech się ludzi,  
Lecz zwodniczych mar nie lęka!

Może kiedyś i w pierś twoją  
Rozczarowań grot uderzy,  
Lecz nim serce weń uwierzy,  
Niech je złote sny upoją!...

*Mieczysław Gliński.*

## Pierwszy zjazd kobiecy

W CZECHACH.

(Dalszy ciąg.)

Pani Zofia Tumowa z Pragi przemawiająca o prawie głosowania dla kobiet, zaczyna od zdania Bismarka, który twierdzi, że przebudzenie się pod względem politycznym kobiety jest niezmiernie ważnym krokiem, gdyż na niem opiera się przyszłość narodów. Dalej przytacza słowa zmarłego niedawno sławnego D-ra Juliusza Gregra gorliwego obrońcy praw kobiecych, który pod względem rozwinięcia patryo-

tycznych uczuć oceniał należycie polki i stawiał je zawsze za przykład swym współrodaczkom.

Gdyby matki, stojące na czele rodzin były do-  
breimi patriotkami, wychowały by swe dzieci  
tylko na dobrych synów i córki ojczyzny; żeby  
rozbudzić to uczucie, trzeba kobiety kształcić  
w tym kierunku, zaznajamiając je nie tylko z hi-  
storią, której już zmienić nie można, lecz i z obe-  
cnym stanem interesów kraju z jego potrzebami  
bieżącymi. Zajmowanie się sprawami polityki  
nie przeszkodzi kobiecie być dobrą matką i żoną  
tak, jak praca posła do sejmu nie przeszkadza  
mu być dobrym ojcem i mężem.

Na tej zasadzie opierając się kobiety żądają  
współdziałania w życiu politycznym, a przede-  
wszystkiem zniesienia prawa z roku 1867, które  
zabrania kobietom stawiania się członkami klu-  
bów politycznych; dalej pragną otrzymać prawo  
głosowania na wyborach tak samo, jak są ró-  
wnouprawnione w składaniu podatków. Dotąd  
bowiem dopuszczano się względem nich niespra-  
wiedliwości, bo podczas gdy każdy robotnik  
płacący 5 guldenów rocznego podatku ma pra-  
wo głosowania, choć nie ma odpowiedniego  
przygotowania umysłowego po temu, najbar-  
dziej świadoma spraw kraju kobieta, płacąca  
najwyższe podatki jest go pozbawiona.

Prawa są wydawane dla całego narodu, a wię-  
kszą jego połowę stanowią kobiety dla czegoż  
tedy taka krzywda? Przecież kobiety, niby ja-  
ko słabsze, powinny się cieszyć opieką prawa.

Zakończyła pani Tumowa zwróceniem się do  
posłów czeskiego narodu, żądając od nich jako  
od braci poparcia w tym kierunku w parla-  
mencie.

O potrzebie zachowania praw higieny prze-  
mawiała panna A. I. Czadowa, redaktorka  
„Zdrowia“ i nauczycielka z Pragi.

Twierdzi ona, że w ogóle stan zdrowia kobiet  
gorszy jest niż mężczyzn. Składa się na to wie-  
le przyczyn. Przedewszystkiem wychowanie



w wieku dziecięcym, kiedy chłopcom pozostawia się więcej swobody ruchu, gdy tymczasem dziewczęta ogranicza się do ostateczności pod pozorem, że im skakać, biegać i t. p. nie wypada. Chłopcy do lat 6 nie nie robią—tylko się bawią, dziewczęta zaś od najmłodszego wieku zachęca matka do zajęć gospodarczych oraz do robót ręcznych i często chlubi się, iż pięcioletnia córeczka umie robić pończochę i szydełkiem, nie zastanawiając się, ile to przymusowe siedzenie nad robotą odebrało jej zdrowia.

P. Czadowa żąda tedy, aby dziewczęta w szkole zaznajamiały się z zasadami higieny, aby wiedziały co zdrowe, a co szkodliwe—to na przyszłość będą mogły uniknąć rażących błędów w wychowaniu swych dzieci. Dorosłe zaś paniny oraz matki rodzin nabywać mogły by tej wiedzy z odczytów i dziełek popularnych w tej materii.

Proponuje też odpowiedni kurs dla nianiek, aby zapobiedz licznym wypadkom, jakie powodują młode, niedoświadczone i nieobeznane z potrzebami dzieci piastunki.

Dalej, wychodząc z zasady, że dziewczęta w wieku rozwijania szczególnej pieczy nad zdrowiem potrzebują, zwłaszcza gdy siły wyczerpują przy nauce, radzi, żeby rozszerzyć wydział wspomaganie uczennic szkół niższych i średnich, a ze względu na to, że kobiety przyjmowane są już do uniwersytetu, prosi o utworzenie stypendyum dla studentek. Mozolne bowiem studia odbywane w pozostałym od lekcji prywatnych czasie, wyczerpują zasady zdrowia i podkopują siły pracownice, które po zdobyciu potrzebnych zasobów wiedzy z pożytkiem do społeczeństwa użyć by je mogły.

Przy rozdawnictwie odzienia dla młodzieży szkolnej chce zaprowadzić dwie reformy: 1) aby odzież rozdawać z nastaniem jesieni w październiku, a nie na kolędę, bo do tego czasu niedostatecznie odziane dziewczęta mogą się już zaziębić i pochwycić zarodek jakiej choroby, 2) aby rozdawanie odbywało się bez zwykłych ostentacji, nie publicznie, lecz prywatnie za pośrednictwem nauczycielek, bo starsze dziewczynki wstydzą się upokorzenia i z tego powodu wolą często znosić zimno, niż zgłosić się o pomoc.

Nareszcie zaleca w ogóle szerszy udział dziewcząt wszelkich warstw i wieku w ćwiczeniach gimnastycznych, jako przeciwdziałających uciążliwemu siedzeniu w szkole i przy pracy. Przypatuje przy tem dane, że dziewczęta bywa dwanaście razy więcej z skrzywieniami kręgosłupa niż chłopców, a to z przyczyny, że chłopcy żyją higieniczniej.

Zwraca jeszcze uwagę na to, że na kolonie letnie wysyłają dziewczęta tylko do lat 12, podczas gdy po 12 latach w czasie rozwoju fizycznego i przytrafiającej się wtedy blednicy największej by właśnie powietrza i wygod potrzebowały.

Powstaje także na bardzo szkodliwe zachowanie się przy pracy niektórych robotnic jak np. zajętych wyrobem kopert i torebek, które lepia dziennie do 1,500 sztuk, zwilżając gumę językiem, czem narażają się na różne choroby.

Na ten sam temat mówił pan Henryk Zahorz, fizyk miasta Pragi i poseł do sejmu, który zaczyna od historii higieny w ogóle, przy czem wylicza zasługi na tem polu już starożytnych narodów jak: Egipcyan, Greków, Rzymian i t. d., aż do naszych czasów. Szczególną uwagę kładzie na choroby zakaźne, których rozwój ograniczyć by mogły matki i gospodynie, o ile by wiedziały, o co chodzi i znały środki przeciwdziałające. A zatem osobliwy nacisk powinien być położony w kierunku odpowiedniego wykształcenia kobiet.

Potrzeba podniesienia ogólnej moralności stanowiła treść referatu pani Barbary Hoblowej, literatki z Młodej Bolesławi.

Fundamentem uczciwego społeczeństwa jest uczciwa rodzina. Tymczasem w obec dziś praktykowanych małżeństw coraz mniej można się spodziewać uczciwości w rodzinie.

Najpierw więc p. Hoblowa powstaje na zawieranie małżeństw z ogłoszenia lub przez faktorstwo, następnie oburza się słusznie jeszcze na tak zwane „partye,” w obec których rodzice

patrzą tylko na materyalne warunki, nie pytając wcale o moralną wartość przyszłego zięcia. Zaprzecza powszechnie przyjętej zasadzie, jakoby przeszłość męża nie należała do żony, podczas gdy odbija się ona tak smutno nieraz na zdrowiu tejże żony oraz potomstwa.

Przyczynę niemoralności młodzieży znajduje w wadliwym wychowaniu chłopców, w którym rządzi się przedewszystkiem zasada, że chłopcom wszystko wolno i wypada, że nie obowiązani są ograniczać swych pragnień i żądz, wskutek czego już między młodzieżą szkolną panuje takie zepsucie, iż wyśmiewają się z moralnych współkolegów.

Dla tego też zaleca matkom wpływać na synów i uczyć ich panowania nad wszelkimi zachciankami, nawet w drobnostkach, co ułatwi im opanowanie się w wieku dojrzałym.

Jako pobudki do niemoralności przytacza 1) wstrętne bez wyboru przekłady najczęściej francuzkich romansów, 2) sprawozdania ze skandalicznych procesów, drukowane szczegółowo w wielu poczytnych pismach, podczas gdy sprawozdania te kwalifikowały by się chyba tylko jako studia dla prawników do gazet sądowych; 3) wytyka ohydne ogłoszenia, które mogły by być podawane bez tak szczegółowych wyliczeń, oraz wystawy różnych przyrządów w sklepach narzędzi chirurgicznych, jako też wystawy nieodpowiednich obrazów; 4) nakoniec obwinia reżyserję teatru o zły wybór tłustych sztuk nie mających żadnego zalet. Wszystko to razem składa się, aby szerzyć niemoralność w młodym, wątłym umyśle i sercu młodzieży, która do stolicy zwłaszcza garnie się po światło wiedzy, aby się przygotować na dzielnych obywateli ojczyzny.

Radzi też matkom, aby nie czekały, aż okoliczności, na które często natknie się córka w świecie, obnażają ją z ciemną stroną życia, lub nieświadomość sprzeczności z drogi cnoty, lecz aby raczej oświecały je wcześniej sameo mogącym grozić niebezpieczeństwem, czem właśnie uczą się go unikać. Szczególniej tyczy się to nieszczęśliwych dziewcząt służących i pracujących, które już w 14 roku życia wychodzą z pod opieki rodziny w świat między obcych, którzy je często bardzo niesumienne wyzyskują.

Aby zapobiedz małżeństwu zawieraniem w celu zapewnienia dziewczętom utrzymania, radzi aby matki wcześniej pomyślały o przygotowaniu córek do pracy, która by dawała im byt niezależny, a wtedy w niedobranem małżeństwie nie będą go potrzebowały szukać.

Dalej powstaje na córki zamężnych rodzin, które mając zapewnione mieszkanie i życie w domu rodzicielskim, podejmują się pracy za tańsze pieniądze, czem nietylko zabierają chleb potrzebującym, lecz jeszcze obniżają płacę swych współkoleżanek.

Usunięcie wszelkich wyżej wymienionych przekroczeń przeciw moralności, kładzie za obowiązek kobiet, które jako żony, matki, siostry i nauczycielki mogą i powinny zbawienny wpływ w tym kierunku wywierać o ile uzbroją się w dobrą wolę.

(Dokończenie nastąpi).

## Noc świętojańska.

Noc czarów, noc od wieków zamierzonych w całej słowiańszczyźnie święcona uroczystość. Jak szerokie i długie ziemie polskie, lud ognie po leśnych polanach i nad brzegami rzek rozniecał, pieśni nucił weselne i pisał ochoczo; dziewczki zaś wianuszki i girlandy z kwiatów pachnących uwite, na fale Wisły, Narwi i Warty puszczały, wróżby czyniąc o swoim losie przyszłym. I nietylko kmiecie, nie prostaczki jedy-

nie zbierali się tłumnie na obchód owy starożytny, pogańskich sięgający czasów: udział brała w nim i szlachta karmazynowa; drużyna dworska mieszała się podówczas z gromadą wiejską, kontusz i żupan jaśniały przy sukmanie i siermiędze.

O tej łączności wyższych stanów narodu z ludem wymownie świadczy urywek pieśni Jana Kochanowskiego o sobótkach w Czarnym lesie:

„Tam goście tam i domowi  
Sypali się ku ogniovi.“

Sobótka, o ile się zdaje, ma swój źródłosłów w wyrazach słowiańskich *zebranie, sobranie* (choć niektórzy od soboty ją wywodzili) ze względu na to, że, jak się wyżej rzekło, tłumy bez różnic stanów, zgromadzały się na nią. Była to uroczystość czci słońca, zwycięstwa światła nad ciemnością; obchodzono ją pierwotnie w noc najkrótszą z całego roku, to jest w przesilenie dnia z nocą.

Później dopiero przeniesiono ten obrzęd na dzień 23-go Czerwca i związane go z wigilią świętego Jana. Do dzisiaj zresztą w niektórych miejscowościach ognie sobótkowe palą w dzień zielonych świątek.

Łukasz Gołębiowski w swojej książce „Gry i zabawy“ (jeden z tomów dzieła tegoż autora p. t. „Lud polski,“) idąc za Majeranowskim, opowiada baśń następującą, zaczerpniętą z „Pszczółki krakowskiej.“

W dawnych wiekach dziewica Sobótka kochała Sieciecha, walecznego rycerza, gdy ten z wojny z pogaństwem powrócił i ulubionej swej wiary dochował, już weselne zapalono ognie, w okolo nich piasano i bawiono się, wtem znowu pokazal się tłum najezdniców; rzucili się wszyscy do broni, w walce tej śmiertelny pocisk odnosi Sobótka, lecz nieprzyjacieli odparty. Na jej cześć zabawy podobnej w dzień świętego Jana została pamiątka i obchód ten Sobótką nazwano.

Legenda powyższa niema żadnej podstawy historycznej; zaliczyć ją trzeba do tych mnogich, rzekomych tradycyji narodowych, które Majeranowski sam zainicjował, w bardzo zresztą szlachetnym celu, chodziło mu bowiem o rozbudzenie zamilowania do rzeczy swojskich i o utworzenie zabaw czysto narodowych; do takich należą Rękawka i Konik Zwierzyniecki istnienie swoje również Majeranowskiemu zawdzięczające.

W wigilię świętego Jana, przed rozpaleniem stosów ognistych, dziewczęta wiejskie po lasach szukały ziół do obrzędu potrzebnych. Najważniejsze z nich były: łopian, dziewanna, macierzanka, a przedewszystkiem bylica. Ziola w wieczór ten zrywane miały moc szczególną; zabezpieczały od chorób wszelkich i od czarów; pleciono z nich wieńce i równianki; te bądź na wodę puszczano, bądź w ogniu palono; okadzono dymem ziółowych żadna zła siła czepić się nie mogła. Bylicą opasywały się wieśniaczki, gdy szły na uroczystość sobótek; wspomina o tem Kochanowski.

„Potem stało sześć par prawie  
Dziewek jednako ubranych  
I bylicą przepasanych.“

Utrzymywały niewiasty, że dlatego opasują się bylicą, aby ich przy żniwach krzyże nie bolały; nadmienić tu warto, iż istnieje podanie u ludu polskiego, że łopianu i bylicy użyła Najświętsza Panna, aby przyrosła odcięta głowa świętego Jana.

Przy puszczeniu wianków na wodę dziewczęta śpiewowały pieśni zastosowane do okoliczności. Na Mazowszu, nad Narwią—jak podaje Glogier—nucono piękną, starodawną pieśń z której przytoczymy kilka zwrotek.

„W polu lipieńka, w polu zielona  
Listeczki opuściła,  
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna  
Parę wianeczków wiała.“



Oj, czego płaczesz moja dziewczyno,  
 Ach, cóż ci za niedola?  
 Oj, nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu  
 Ach będziesz ci go miała!  
 O, mój Jasieńku, o mój jedyny!  
 Da, stałać mi się szkoda!  
 Uwiłam ci ja parę wianuszków.  
 Zabrała mi je woda!  
 Moja dziewczyno, moja jedyno,  
 Nie frasuj ty się o nie:  
 Oj, mam ja parę białych łabędzi,  
 Popłynąć one po nie.  
 Już jeden płynie po rokicinie,  
 Goni za wiankiem strzałą,  
 Już drugi płynie, aż się odhynie,  
 Ale z pociechą małą.  
 Łabędzie płyną, wianeczki toną,  
 Bystra je woda garnie,  
 Moje wianeczki z drobnej rutecki,  
 Mamli was stracić marnie?...“

Na uroczystość sobótek oczekiwały dziewczęta miejskie i wiejskie z tęsknotą niemłą. W dniu tym snadno dowiedzieć się one mogły rychło-li wianuszek dziewczycy na czepiec mężatki zamienia? rychło-li umiłowany weźmie dziewczęzynie, jak swoją, z domu ojcowego i pod własną strzechę zawiedzie? gdy wianek utonął: długo jeszcze smętna dziewczucha trwać miała w stanie panińskim, gdy zaś przeciwnie, pochwyił go zręcznie dziarski parobczak, tedy szczęśliwa wróżba: wkrótce z nim na ślubny wstąpi kobierzec.

W zbiorze baśni i podań ludowych zebranych przez Balińskiego, a wydanym przez Wójcickiego znajduje się piękna opowieść p. t. „Helisia.“ Helisia, córka dostatniego kmiecia, w wigilią świętego Jana rzuciła wianek z róż i lilij na fale Wisłane; na brzegu stał właśnie przejezdny panicz z liczną drużyną rycerzy. Zeskoczył z konia, za wiankiem chłopki popłynął, a gdy go dostał, do brzegu wrócił, dosiadł siwego dzianeta i, jak wiatr pędzący, zniknął z przed oczu Helisi, a za nim orszak przybocznych.

Rok minął cały, minął i drugi, Helisia dotąd w ojcowym domu, družki jej dawno czepiec już noszą, dzieci hołubią, pieluszki szyją, a ona jedna, gdyby zaklęta, panną zapewne na wiek ostanie.

Aliści wieść się rozchodzi, że młody dziedzic z zamorskich krajów powrócił, że piękną wkrótce pojmie małżonkę i całą gromadę wedle zwyczaju starego na ślub swój zaprasza.

Za niedziel parę zjechał starosta, dziedzic siół mnogich i miast i zamków, a młodego pana ojciec.

Kościół ustrojono wspaniale, zeszedł się tłum niezmierny, dziewczęta wiejskie w białych sukienkach stanęły szeregiem, a między niemi, najpiękniejsza z najpiękniejszych Helisia.

Już ksiądz starszek przed ołtarzem stanął, już organ zabrzmiał wspaniałemi tony, gdy wtem do Helisi zdumionej zbliża się panna starościanka, a pana młodego siostra, na głowę jej kładnie ów wianuszek, niegdyś przez nieznanego panicza schwytyany i przed ołtarz wiedzie załęcznioną dziewczę, a przed ołtarzem on sam, ów dzielny rycerz, a teraz, za chwile, mąż Helisi.

W roku 1468-ym król Kazimierz Jagiellończyk, na żądanie opata benedyktyńskiego klasztoru święto-krzyskiego, zakazuje pogańskich uroczystości (sobótek) na Łysejgórze w zielone świątki odprawianych. Marcin zaś z Urzędowa, autor słynnego herbarza czyli zielnika (wiek XVI-y) powiada o tym zwyczajach:

„U nas w wigilią świętego Jana niewiasty ogień paliły, tańcowały, śpiewały, dyabłu cześć i modłę czyniąc; tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią; czynią sobótki, paląc ogień, krzesząc je deskami, aby była prawie świętość dyabelska, śpiewając pieśni, tańczując.“

Nic jednak nie pomogły zakazy królewskie, ani też niechęć uczonego pisarza i lud, ba! i na-

ród prawie cały trwał przy swoim; na sobótkę trzeba było być obowiązkowo. U mazurów nadnarwiańskich (patrz „Słownik rzeczy starożytnych,“ artykuł sobótki) w wigilią św. Jana gospodynie i dziewczęta, po zachodzie słońca, rozpaliwszy kópalnockę (tak w okolicach owych obrzęd ten nazywano) patrzyły czy są zebrane wszystkie; gdyby której nie było, tę uważano za czarownicę.

Karol Ogier, sekretarz posła francuskiego do Polski hrabiego d'Avaux i de Mesmes (1635 r.) w pamiętniku swoim nadmienia: „Dnia 23 Czerwca, że to była wigilia świętego Jana Chrzyciela, przejeżdżając dnia tego przez gaje i łąki nabierał wiele kwiatów i ziół, pomniąc iż dzień ten po całym świecie tak ludziom pobożnym, jako też i czarownikom był uroczystym. Przejeżdżając przez wsie, uważaliśmy wszędy po domach kwiaty i zioła, z tą różnicą, iż gdzie byli lutrzy, tam sobótek odprawiać niewolno. (Niemcewicz, zbiór pamiętników o dawnej Polsce, tom 9-ci, stron. 198—8. wydanie pierwsze).“

Kitowicz mówi, że „za Augusta III-go, w wigilią św. Jana po niesporach, albo późnym zmrokiem, po wsiach i miastach rozpalano spory ogień na ulicy i przezeń skakały chłopcy, a czasem i dziewczęta. Marszałek W. Koronny ku końcowi tego panowania zabronił tego w Warszawie, podobnież i gdzieindziej uczyniono. Trafiały się bowiem pożary, opalali się niezręcznie skaczący, podsadzano klucze prochem nabite, lub ładunki rzucano, czem przerażony nie jeden w sam środek ognia upadł, za nim drugi i trzeci, gdy się rozpędził.“

W ostatnich czasach najświetniej odbywa się obchód sobótek, a właściwie wianków tylko, w Warszawie i w Krakowie. Wianki krakowskie dawniej opisał Anczyz w „Tygodn. Ilustrowanym,“ warszawskie zaś zyskały niezmiernie od czasu, gdy zajęło się niemi towarzystwo wioślarskie.

Seweryn Goszczyński na tle sobótki karpackiej osnuł cały poemat; Wincenty Pol w „Pieśni o domu naszym“ nie zapomina o tym obrzędzie prastarym, a Jan Kochanowski opiewa ją dziwnie pięknymi, acz tak prostemi słowy; jedna z dziewcząt w poemacie jego śpiewa:

„Siostry ogień zapalono,  
 A placu nam postąpiono,  
 Czemu sobie rąk nie damy,  
 A społem nie zaśpiewamy?  
 Piękna nocy, życz pogody,  
 Broń wiatrów i nagłej wody,  
 Dziś przyszedł czas, że na dworze  
 Mamy czekać rannej zorze.  
 Tak to matki nam podały,  
 Same także z drugich miały,  
 Że na dzień Świętego Jana  
 Zawszy sobótki palana.  
 Dzieci, rady mej słuchajcie  
 Ojcowski rząd zachowajcie!  
 Święto, niechaj świętem będzie,  
 Tak bywało przedtem wszędzie!  
 A teraz ten wieczór sławny  
 Święćmy, jako zwyczaj dawny,  
 Niecąc ogień do świtania,  
 Nie bez pieśni, nie bez grania!...“

Noc świętojańska nie tylko z powodu sobótek słynie: dziwy się dzieją w czasie jej krótkiego trwania: czarownice na Łysą górę na ożogach i miotłach lecą, by tam z czartami sprośne skoki odprawiać, albo też nago chodzą po wsi, z wrót, z drzew, z odzwierza ustrugując po trzase, które wrzucają w szkopek, by przymnożyć sobie mleka; najważniejszą atoli cechą świętojańskiej nocy jest to, że wówczas właśnie zakwita cudowny kwiat paproci.

Zakwita on o północy samej i na jedno mgnienie oka zaledwie: jeno się pokaże już i niknie natychmiast. Małeńki jest taki, że za paznokciem łącno go schować można, czerwony, by krew, a jaśniejący, jak najczystsza gwiazdka.

Kto-by kwiat ów czarodziejski posiadał, najmniejszym z ludzi był-by i najmędrszym. Wszystkie skarby pod ziemią ukryte ujrzałby, jak na dłoni, przyszłość-by całą odgadł, nauki wszystkie zgłębił od razu; ale—niestety!—nie łatwa to zdobycz; mnogo śmiałków kusilo się o nią, a wszyscy z niczem wrócili!

Boć straszne rzeczy dzieją się w boru w północnej godzinie, gdy paproć ma kwitnąć: grom bije po gromie, błyskawice sine wiją się, jak węże, po niebie, ziemia rozpada się i wzdryga. Zgraje widm ohydnych błędzą wówczas w gęstwinie: upiory, krwi chciwe, z grobów powstają, strzygi, z podwójnym szeregiem zębów, szczerzą je, wyjąc jak wilki, topielice z chichotem dyabelskim na trzęsawiska ciągną zuchwałców, a nad tem wszystkim góruje wrzask, ryk, śmiech całego sejmu biesów, co przedzierzga się to w smoki, ogniem ziejące, to w gady jadowite, to w nietoperze olbrzymie, z oczyma płonącymi, jak karbunkuły!

Toż nie dziwota, że, acz wielu było pragnących posiąść cudowny kwiatek, nikt go jednak dotąd nie dostał. Raz tylko takowy zdarzył się przypadek.

Pewien kmieć stary, zamożny gospodarz, szukał już od dni kilku zabłąkanej krowy, a szukał napróżno. Właśnie w przeddzień świętego Jana szedł zasmucony o północy, gdy przypadkiem w kurpie, czyli łapcie z lipowego łyka plecione, wpadł mu kwiat paproci. Natychmiast chłopiec ów odnalazł zaginioną krowę, dowiedział się o licznych zakopanych skarbach, i cała przyszłość w widnej postaci stanęła mu na oczy. Ale cóż! ani domyślał się biedak, że ma w chodaku kwiat cudowny.

Wróciwszy do domu rozszedł się z obuwiem, kwiatek wyleciał i przepadł bez śladu. Po tej stracie, przyszłość znów, jako dawniej, ściemniała mu nie do przejrzania, zapomniawszy o skarbach i tę stąd korzyść odniósł jedynie, że znalazł zabłąkaną krowę.

Taka to jest owa noc świętojańska, krótka, uroczą noc letnia. Błogo w noc oną sięść na ganku dworskim, albo nad Wisłą szarą, albo w oknie wreszcie, gdyś w murach miejskich uwieszony, i, zapatrzywszy się w błękit gwiazdzysty, podumać, pomarzyć.

A gdy zadumasz się, oczy twoje, szarzyzną życia zmęczone, obaczą zmagła świat dziwnie piękny, świat ze snów znany jedynie.

I oto ockniesz się na łące podlesnej, pod dębem wiekowym; starce o brodach srebrzystych, gęślarze słowiańscy o dawnych dziejach prawie ci będą, a cicha i słodka gędzba ukolysze serce twe, niepokoju i tęsknoty pełne.

Dziewice w bieli i w kwiatach, młodzieńce—junaki w szatach odświętnych płąsą i śpiewy rozpoczną, a ty dumać będziesz.

I pomyślisz wówczas, że życie byłoby piękne, jak poemat, gdyby ludzie odnaleźć chcieli ten kwiat paproci, który w ich sercach żyje.

A kwiatem tym—jest miłość!...

Artur Oppman.

## NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Na podwórzu szkolnego domku ruch panował niezwykły. Pakowano na wóz meble, których panna Olimpia dość posiadała, jako pamiątkę lepszych czasów; resztę objano słomą i płótnem. Przez otwarte okna szkolnej izby dolatywały



głosy dzieci, które z nową już nauczycielką lekcyę powtarzały.

Gdy Roman ukazał się w furtce, właśnie panna Olimpia, w dużym fartuchu i chustce na głowie zawiązanej, aby włosy uchronić od pyłu i kurzu, niosła w obu rękach książki, które składać miała w pace, przygotowanej na podwórzu. Kiedy ujrzała wchodzącego, książki posypały się na ziemię, a ona nie zważając na to, postąpiła ku niemu.

— Byłam pewną, że pan przyjedzie, — rzekła witając go. — Nie pojmuję tylko gdzie pana przyjmę... W pokojach już pustki... a właściwie nie do mnie już one należą. Ot!... proszę za mną!

Skierowała się do ogródka, przestępując słomę, deski i rozmaite przedmioty zagrządzające drogę.

— Panna Janina... — zaczął Roman.

— Niech pan usiądzie pierwej... — rzekła uprzejmie, ukazując mu ławeczkę, na której sama także miejsce zabrała.

— Panna Janina... — zaczął znowu, nie patrząc na pannę Kręcką, ze wzrokiem uparcie zwróconym na pęki astr i maku rosnących na trawniku.

— Panna Janina jest u mnie, — skończyła panna Olimpia. — Domyslała się, że pan dziś zapewne nadjedzie... bo musiała dojść do pana wiadomość o tem co zaszło w pałacu?... Prosiła mnie, żebym pana przyjęła i pomówiła.

— Więc nie zobaczę panny Janiny?

Panna Olimpia smutnie pokiwiała głową.

— Bardzo mi żal, że muszę pana żartwić, — rzekła. — W ogóle przypadła mi w udziale nader nieprzyjemna missya... Dziś odjeżdżamy do Lwowa...

Mówiła smutnie, zwolna jakby się zmuszając do tego, bała się spojrzeć mu w oczy.

Ale Roman był zupełnie, całkowicie spokojny. Na bladej jego twarzy nie widziało się nic prócz smutku wielkiego, tylko głos był zmieniony, nienaturalny, grobowy, jakby nie jego.

— Dziś panie odjeżdżają... — powtórzył. — Konie moje na usługi pani, o której pani rozkaże?... Nic więcej panna Janina nie miała mi do polecenia?

Biedne panna Olimpia zacisnęła ręce aż zatrzeszczały i westchnęła głęboko.

— Owszem... — rzekła z wysiłkiem i zamilkła.

Roman czekał. Oparł głowę na roku i patrzył ciągle na astry i malwy. Lekki wietrzyk poruszał główkami kwiatów, a one się kiwały, jakby potakując...

— Panna Janina, — rzekła w końcu Olimpia głosem jakby nieśmiałym, — nie może widzieć się z panem... Prosiła żeby pan nie szukał jej... Prosiła... żeby pan nie miał jej za złe, że unikać pana musi... że... zwraca panu słowo... — mięszała się biedna, kołysząc się machinalnie na ławce i mnąc w rękach fartuch.

Straszny, nieublagany bolesny cios spadł na duszę Romana, aż drgnęła ona, jakby wyskoczyć z niego chciała...

— Och! — krzyknął, z mocą unosząc się z miejscy jak iskrą elektryczną tknięty.

— Tak! — dodała Olimpia śmiejąc tym razem, — inaczej być nie może! — dodała stanowczo.

— Pozwoli pani, że i mnie wolno decydować w tym wypadku! — zawołał z goryczą.

Panna Olimpia zamilkła na chwilę.

— Pan nie wie co zaszło w pałacu? — rzekła po chwili wahania.

— Nie! — brzmiała krótka odpowiedź.

Panna Olimpia znowu wahała się nieco, nareszcie westchnawszy głęboko:

— W obec tego co się stało, — rzekła — w obec gwałtownego przewrotu jaki nastąpił w uczuciach i zamiarach biednej Janiny i w obec pańskiej boleści, muszę niestety okazać się niewdzięczną tej, która była przez czas jakiś moją chlebodawczynią i opowiedzieć panu, czego mimowolnie byłam świadkiem, wybrawszy bardzo złą chwilę na złożenie hrabiniem wizyty względów, bez ceremonii, obrzucono ją najokropniejszymi wymówkami... nazwano intrygantką,

która odciała pana od panny Kamilli, pomimo, że wiedziała o postanowionem małżeństwie pana z kuzynką, co jej nie przeszkadzało kokietować od razu pana Juliusza, księcia Brunona i... mego siostrzeńca... Nie będę panu opisywać tonu ani wyrazów bezwzględnych hrabiny...

— Dość... dość! — przerwał Roman takim głosem, jakby się dusił...

— Niech mi pan daruje! — dodała łagodnie Olimpia. — Musiałam dotknąć tych szczegółów, choć Janina błagała mnie żebym panu nic nie mówiła... Musiałam choć w części przedstawić panu jakiej krzywdy doznała pan narzeczona, a to w tym celu, żebys pan zrozumiał, że Janina inaczej postąpić nie może. Jedyńa dla niej rehabilitacją będzie życie, jakie teraz rozpocznie się dla niej... życie wśród pracy lub zapomnienia. Może wtedy słuszność jej przyznają; może zmienią zdanie... w każdym razie innej rady niema.

On milczał głucho i posepnie. Cios był nadto gwałtowny, spadł na niego nieprzygotowanie... Myśli się mąciły; wiedział tylko jedno: groziła mu utrata tego co posiadał najdroższego na ziemi, i wiedział, że tego sobie wydrzeć nie pozwoli.

— Niech pani zechce powtórzyć pannie Janinie, — rzekł w końcu, — że o takiej decyzji słyszeć nie chcę... Dziś, czy jutro, czy za lat dziesięć... Kiedy mi pozwoli... stanę przed nią upomnieć się o moje prawa... Na razie, szanuję jej rozkaz i odchodzę.

Odszedł zgnębiony, pochylony pod brzemieniem wyroku, ale z silną wolą, z postanowieniem wytrwania.

Co miał teraz robić z sobą? Odjechać? Ależ obiecał pannie Olimpji konie swoje, więc czekać musi do wieczora, dopóki konie ze stacyi kolei nie wrócą. Iść do pałacu? Nie, niepodobna niepodobna mu będzie zimną krew zachować po tem co się dowiedział. Ciotce winien okazać pewne względy, zachować choć pozór dawnego stosunku... czuł, że dzisiaj nie miałby na to siły. Wołał nie widzieć się z nią wcale, a pragnął zapomnieć o jej istnieniu. Kamilli tylko było mu żal...

Słońce dopiekać zaczynało. Roman nie miał nic w ustach od wczoraj; opanowywało go znużenie. Usiadł na pierwszej napotkanej ławce w cieniu drzew, oparł głowę o pień drzewa i siedział tak bez ruchu, bez myśli, obojętny.

Po jakiejś chwili kroki ozwały się w pobliżu. Przed nim stanął chłopak w liberyi domu.

— Ja jaśnie pana szukam po całym ogrodzie... — rzekł. — Pani hrabina kazała prosić jaśnie pana do pałacu.

Niemile zbudzony tem poselstwem, Roman wzburzył się cały.

— Powiedz pani hrabini, że przyjść nie mogę! — zawołał gniewnie. — Głowa mnie boli... — dodał spokojniej nieco.

Chłopak zabierał się do odejścia.

— Czekaj! — zawołał Roman. — Powiedz mojemu Wojciechowi żeby założył konie i na trzecią godzinę stawił się w szkole. Odwiezie pannę Kręcką do koleji...

Posłaniec ciotki przeniósł jego myśli do pałacu; wyobrażał sobie co tam się w obecnej chwili dzieje. Czy hrabina żałuje swego kroku, a Natalia? czy poznała, że za daleko się zapędziła? Jakie będą ich miny gdy się dowiedzą o odmownej odpowiedzi jego? Wstał i przechadzać się zaczął. Bezczyność go gnębiła, czuł się lwem zamkniętym w klatce bez wyjścia co prawda, sam się w tej klatce zamknął... Tak! ludzi nie chciał widzieć, ale i samotność bezczynna go nużyła. Pragnąłby działać, zająć się czem, zapomnieć choć na chwilę o katastrofie, która spadła na niego tak niespodzianie i niezasłużenie... Zapomnieć? nie! zapomnienie on nie potrafi, a nawet nie powinien! Wyrok Janiny, to krok rozpaczny z jej strony; ona tego na seryo nie myślała, nie uczyniłaby mu tak strasznej boleści... ona przecie wiedziała, że bez niej życie jego byłoby złamane, bez celu i przyszłości. Ona wiedziała czem była dla niego, wiedziała jaki wpływ wywierała na każdą jego czynność, myśl każdą. Mówili nieraz o swojej wspólnej przyszłości, czyli on mówił jej o swoich planach i za-

miarach, które z jej pomocą i za jej wpływem wykonać zamierza.

Przypominał sobie zwolna wszystko co mu panna Olimpia mówiła, wszystko co słyszał wprawdzie, ale nie rozumiał dobrze, i nad czem zastanowić się nie miał czasu, zajęty jedną, jedyną, wyłączną rzeczą: niepokojem o ukochaną. Więc ona ma jechać!... odjeżdża dzisiaj, niedługo już... i on na to przystał? Przyjął tę wiadomość obojętnie; tak, pamięta... Obiecał przysłać swoje konie, żeby wywoziły jego najdroższą z Żarnek, żeby zabrały mu światło jego oczu, szczęście jego życia? On przystał! biernie, nie oponując, przystał... Wściekły był na siebie za swoją bierność, ale czuł, że inaczej nie mógł postąpić. Mógł był zapalić się gniewem, odtrącić pannę Olimpię, domagać się widzenia z samą Janiną aby z jej ust posłyszeć swój wyrok!... mógł to wszystko uczynić i dla czegoż tego nie zrobił? Powstrzymał go dziwny jakiś, mimowolny instykt, pewien rodzaj nieokreślonej ale potężnej obrony, której na razie sformułować nie umiał... Obecnie, widzi jasno. To co go od wybuchu powstrzymało to obawa urażenia delikatnej natury niemocy jaką posiadała Janina... Należała ona do tych istot, które nigdy brutalnej siły nie uznają...

Kroki jakieś znowu ozwały się po za nim, że też mu spokoju nie dadzą! Roman cofnął się żywo i ukrył między gałęziami.

Ścieżką szła śpiesznie postać kobieca dążąca od strony pałacu. Roman poznał Kamillę, która skierowała się na drogę prowadzącą do szkolnego domku.

— Idzie do Janiny... — pomyślał, — idzie zapewne ją pożegnać... Ciekawa rzecz, czy ciotka wie o tem?... Idzie ją pożegnać... — powtórzył półgłosem, powoli wymawiając każdy wyraz.

Wstrząsnął się, uśmiech ironiczny wykrzywił mu usta. Wyszedł z gęstwiny i usiadł znowu na ławce, chyląc głowę w obie dłonie.

Sam nie wiedział ile czasu minęło i co się z nim działo wtedy. Nagle ktoś mu dłoń położył na ramieniu i usłyszał nad sobą okrzyk radośny:

— Nareszcie znajduję cię!

Podniósł błędne oczy, które przez chwilę nie przed sobą rozróżnić nie umiały.

— Szukam ciebie, niedobry! pragnę tak widzieć się z tobą! co się z tobą działo? — mówiła Kamilla, biorąc jego rękę, siadając przy nim i patrząc mu w oczy.

Była nieco zmieniona. Oczy miała zapuchnięte, na twarzy ślady łez...

Roman patrzył na nią długo, błędnie.

— Pojechała?... — szepnął.

— Tak... przed chwilą... twoim powozem... rzekła spuszczać oczy jakby zawstydzona.

— Nie mówią nic?... — spytał Roman głosem bez dźwięku.

Kamilla poruszyła się żywo. Wyjęła z za paska sukni ukrytą tam niewielką kopertę i podała ją Romanowi.

— Kazała ci oddać ten papier... — rzekła.

Roman wziął machinalnie kopertę do rąk i rozdarł ją drżącymi palcami. Wewnątrz znajdowała się mała karteczka a na niej słów kilka: „Zegnam na zawsze... zapomnij o Janinie...”

Roman czytał długo; potem podał kartkę Kamilli; ręce mu opadły i siedział blady, bez ruchu, ze sztywnym spojrzeniem oczu.

Jak uderzona w samo serce, zerwała się Kamilla z ławki, rzuciwszy okiem na słowa napisane przez Janinę. Usta jej drżały, ruchy były szybkie nerwowe, a głos do krzyku podobny wymawiający wyrazy prawie bez związku.

— Oh! oh! to nadto okropne!... to niepodobne!... to nie może być... nie bój się Romanie... ja pójdę do niej... napiszę... pojedę! ja nie pozwolę... Mama musi sama... tak, mama musi!... Nie! nie! to niepodobne!...

Wybuch Kamilli, podobny do nerwowego ataku, uspakajająco wpłynął na Romana, który pochwylił obie ręce kuzynki i zmusił, by napowrót usiadła.

— Kamilko, Kamilko! — mówił starając się nadać głosowi ton naturalny. — Czemu się tak uno-



sisz niepotrzebnie?... Patrz! jestem przecie spokojny... a przecież o mnie tu także chodzi...

— Romku... to nad moje siły!—wyznała biedna dziewczyna zupełnie wyczerpana. Osunęła bezwładną głowę na oparcie ławki i załamała się łzami.

Roman ten wykrzyknik zrozumiał i boleść pojmował... serce córki bolało nad niekonsekwentnym postępkami matki...

Objął ją ramieniem jak dziecko i jak dziecko uspokoić się starał. Szczerze mu żal było biednej kuzynki, która zupełnie niewinnie narażona była na cierpienie. Na szczęście Kamilla posiadała usposobienie żywe i wesołe wrodzone i tak samo prędko rozplakać się umiała jak i rozześmiać. Jedno słowo Romana ją do równowagi przyprowadziło.

— Na prawdę? ty nie wierzysz żeby Janina na seryo nas porzuciła?

Roman nie mógł się powstrzymać od gorzkiego uśmiechu. Nie wyraził wcale tego przekonania, powiedział tylko dla jej uspokojenia, że Janina ich nie zapomni. Ale Kamilla, ze zwykłą swoją żywością przyjęła to zapewnienie tak jak chciała by się stało. Szczęśliwie usposobienie! Gdyby to on także mógł tak powierzchownie zapatrywać się na wszystko!

Kamilla tymczasem dalej mówiła, już bez łez, których nieobeschnięte ślady na twarzy jej widniały.

— Cała rzecz poszła o tego idyotę Juliusza, który nie odstępował Janinki, chodził z nią na spacery i przesiadywał całe dnie u nas. Mama, — ty nie wiesz Romku, ale ja ci powiem, że mama jest pod nieustannym wpływem Natalii... Natalia podmawiała mamę na Janinę i Natalia winna, że mama jej tę scenę zrobiła... Nie wiem czemu Natalia tak się zawzięła na biedną Janinę... dokuczala jej na każdym kroku, jakby sobie postanowiła, że zgnębić ją powinna. Ale zdaje mi się, że jej królowanie u nas już się skończyło... Mama bardzo dla niej zimna... Natalia to spenetrowała i wczoraj przez cały dzień na dół nie zesła. Teresa mi mówiła, że podobno się pakuje... Z Panem Bogiem! żałować jej nie będę!

Roman słuchał tej gadaniny i milczał. Słowa Kamilli obijały mu się o uszy, jak dźwięk bez treści. A ona, zadowolona, że ma się przed kim wygadać z tem co jej od dwóch dni na sercu ciążyło, nie zważała na jego milczenie, tylko mówiła ciągle, nie domyślając się, że temi szczegółami rozkrwawia świeżą ranę jego serca. To się u niej nazywało pocieszanie...

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Roman słuchał ciągle, cierpliwy, obezwładniony.

Doznawał teraz dziwnie błędnego uczucia bezsilności; żadne myśli go nie trapiły, nie czuł potrzeby żadnej zmiany. Siedziałby tak do nieskończoności patrząc bez celu przed siebie i słuchając dźwięku głosu Kamilli.

Nagle ona się opamiętała.

— Boże! już tak późno... co mama powie, że mnie niema... Ach, Romku!—dodała przypominając sobie. — Ty pewnie dzisiaj nic w ustach nie miałeś... naturalnie! nie może być inaczej... Boże drogi! osłabniesz z głodu! Chodź z mną do domu!

Do domu? to znaczy do pałacu... Miał tam iść! dobrze; wszystko mu jedno... I tak koni jeszcze nie ma. Potem, wróci do Wasilec.

Podniósł się zwolna i był gotów iść za kuzynką. Ona spojrziała na niego: wyraz przerażenia odbił się na jej twarzy, ale wbrew swemu zwyczajowi ani krzyknęła ani żadnej nie zrobiła uwagi, tylko z czułością siostry wzięła go pod ramię i poprowadziła powoli, w milczeniu, spozierając co chwila ukradkiem na niego.

Jak ten człowiek wygląda! że też ona nie spostrzegła tego dotąd? Co to za cera trupio blada, jakie zapadłe oczy!...

Doszli do werandy i Kamilla zaprosiła kuzynę aby spoczął na krześle. Kobięcym instynktem wiedziona, czuła, że trzeba co prędzej wzmożyć jego siły fizyczne.

— Poczekaj chwileczkę, zaraz wrócę...—rzekła. — Nie bój się!—dodała,—nikt ci tu nie przeszkodzi... Mama zawsze o tej porze u siebie,

a mego narzeczonego niema... Czy mówiłam ci, że pan Stanisław wyjechał?

Wspominała o tem parę razy, męcząc go swoją gadaniną, ale czy ona co pamiętała?

Poszła i za chwilę wróciła, niosąc bez ceremonii w rękę butelkę wina i szklanę. Roman podane sobie wino wypił machinalnie; Kamilla nalała mu drugą szklanę, dodając:

— Zaraz dostaniiesz coś posilniejszego. Już kazałam żeby przygotowano.

— Dziękuję...— rzekł z wdzięcznością. — Nie potrzebnie się trudzisz...

— Ach, mój Boże!— przerwała mu nagle porywając się za głowę. — Jakaż ja jestem rozstrzępana, zapominałska!... Czy ja ci nie mówiłam Romku—bo zdaje mi się, że nie? Mama mi przecież kazała szukać ciebie po całym ogrodzie i przyprowadzić... Co ja zrobiłam!..

Wybiegła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TEATR.

Marcin Łuba, dramat w 4-ach aktach Sewera ze współpracownictwem F. Micińskiego.

A jednak i niezadowolonych zadowolnić można. Od pewnego czasu Teatr nasz dramatyczny przez ostre ciągi przysięgłych krytyków naszych przechodzi. Jedni żądają, by repertuar był wypełniany nowościami, inni nie koniecznie nowości pragną, byleby tylko dawano sztuki swojskie, są zaś i tacy, którzy nie wierząc w płodność gleby rodzinnej ani dobroć jej płodów, czekają na arcydzieła z zagranicy sprowadzone.

Ale Szekspiry nie rodzą się na kamieniu, dawane sztuki, swojskich czy zagranicznych autorów, nie przechodziły granic mierności, naganka tymczasem trwała, huk się wzmacniał, zadawane razy coraz dotkliwsze były. Niezadowolenie przyjęło tak szerokie rozmiary, że zdawało się istotnie, iż, lada chwila, zamkną się drzwi Teatru Rozmaitości, a nieszczęśliwy reżyser workiem pokutniczym głowę sobie nakryje i uderzywszy się w pierś z pokorą, powiedziec będzie zmuszony:

— Mea culpa, mea maxima culpa!

Lecz oto niezadowoleni zadowolonymi zostali.

Tego cudu dokazał „Marcin Łuba.“

Dramat Sewera (Maciejowski) napisany ze współudziałem Micińskiego doskonały budową, prawdą psychologiczną i znakomitą grą artystów chwycił od razu za serce publiczność i rozbroił krytyków naszych.

Napisać dramat ludowy nie jest rzeczą zbyt łatwą. Nie dla tego, ażeby typy trudniejsze były, przeciwnie, wyrazistość typów łatwiejszą jest nawet do przedstawienia; nie dla tego także, ażeby dusza kmiecia była więcej zagadkową i więcej skomplikowaną—przeciwnie, tam złe i dobre skłonności na jaw wychodzą i nie wiele może zagadek do rozwiązania by się znalazło.—Trudność polega na tem, że nie możemy dotknąć ludu, bez dotknięcia jakiejś kwestyi społecznej, że z góry nakreślona tendencja w poprzek staje artystom, że stając się obrońcami i rzecznikami młodszej, a przez wieki krzywdzonej braci, przedstawiamy ją w piękniejszym oświetleniu, niż jest w rzeczywistości, tworzymy ideały, o których tłum ciemny pojęcia nie ma, słowem: „na nieprzekróleszczonego“ koronę kładziemy.—Mimowoli więc,—aczkolwiek z dobrej woli,—fałszujemy prawdę i stroimy w sukmany ludzi nie mających nic wspólnego z sukmanami, tendencja dokonywa resztę i staje przed nami obraz chłopca, nie ten, którego w życiu widzimy, lecz ten którego fantazja autora stworzyła.

Dobro i piękno jako też prawda, nie są obce i chłopskiej duszy. Pojęcie jednak tam dobra nie przekracza prawie nigdy granic gospodarskiej sadyby; piękno łączy się zawsze z użytecz-

nością, prawda musi schlebiać jego osobistym poglądom i stosować się do jego woli. Lud własną sobie stworzył moralność, z którą rzeczniczy jego liczyć się muszą; dobrym chęciom wiary nie da, jeżeli w widoczny czyn się nie przemieniły. Kto dobrze mu życzy, musi te życzenia spełnić, niemożności nie pojmując, w nieudaniu się za wszelką wolę dojrzy.

Pisząc o ludzie, kochając lud szczerze, potrzeba na uwięzi serce swoje trzymać, właściwą miarę przyłożyć do jego potrzeb, pragnień i marzeń. Nie zrażać się brutalstwem czynów, zniechęcać się wrodzoną niewiarą, z pod grubej warstwy ziemi dostać ziarno pszeniczne i nie przeklinać ziarna, że nawet kiełkować nie zaczęło, lecz grunt ulepszyć, by wypuścić żdźbło mogło; nie patrzeć na lud z wysokości naszych salonów, lecz zniżyć się do strzech ich; wziąć go takim, jakim jest i takim jakim jest nam go pokazać.

Kto, a kto dzieła tego mógł dokonać — to Sewer.

W doskonałych powieściach swoich złożył przed nami dowody wybornego zjawstwa tych mas kmieczych; psychologia niezawiodła go nigdy, taki: „Zyzma“ lub „Biedronie“ są arcydziełami ludowej powieści.

Jesteśmy w chacie Sobociny, której córka Zosia otrzymuje list od Janka, zawiadamiający ją o swoim przejeździe. Radość nie do opisania, bo ten Jaś to towarzysz lat dziecięcych Zośki, razem biegali po polach rodzinnej wioski, no i serduszko dziewczyny przylgnęło do chłopca serduszka, a teraz ten list nie tylko rozbudził wspomnienia, lecz razem i drzemiące uczucie, które już teraz nieświadomem nie jest dla dorosłej dziewoi. Kunda, stara niańka Jasia, wiadomością o przybyciu swojego wychowawca do siódmego podniesiona jest nieba; z jej to ust dowiadujemy się, że wypożyczonym mlekiem u Sobociny, karmiła dziecko Marcina, bo stary Łuba, zbierając grosz do grosza i ciężką pracą rozszerzając małe dziedzictwo swoje, skąpił jedynakowi, a skąpił tak dalece, że dzieciak z głodu by umarł, gdyby go nie przytulili w chacie swojej pocziwa matka Zośki.

Tu małe niezrozumienie doskonałej jednolitości charakteru Łuby. W przebiegu całego dramatu, nie widzimy w nim sknerstwa; chowa grosze, powiększa dziedzictwo swoje; nie żałuje tego grosza drugiej swej żonie, a macosze Jana, Janowi nawet, by go utrzymać u siebie przy gospodarstwie, krówkę i trochę gruntu dać obiecuje—dla czegożby dziecku żałował mleka, dla czego pozwalał, by głodem marło, by je zresztą wychowywała, ni kuma ni swacha, zupełnie obojętna Sobocina?

Tak było jednak, mówi nam o tem opowieść Kundy. I byłby to błąd bardzo ważny w logicznym przeprowadzeniu charakteru starego Łuby, gdybyśmy nieczem błędu tego wytłumaczyć nie mogli.

Z opowiadania Kundy widzimy, że Janek, będąc dzieckiem jeszcze, rwał się do książki, i z książką uciekał w pole, gdy ojciec chciał go przy jakiejś robocie zatrzymać. Za tę miłość do książki otrzymał plagi nawet, co tak ubodło malca, że porzucił dom rodzicielski, sam w świat poszedł, okrutną biedę klepał, lecz o własnych siłach nauki szkolne skończył i siadł na ławce uniwersyteckiej. Znać wielka była w sercu starego Łuby zaciętość, gdy ani razu o dziecku się swoim nie dowiedział i—gdy ten syn, gnany tęsknotą do wioski rodzinnej, pisząc o swoim powrocie, nie ojca o tem zawiadamia, lecz Zośkę Sobocinową.—Jeżeli więc Łuba głodem morzył swojego syna, to czynił nie przez sknerstwo, lecz tylko dla tego, by go zmusić do posłuszeństwa, do zarzucenia nienawistnej staremu książki. Lecz srogi postępek ojca inny całkiem skutek wywołał: Jaś uciekł z domu, wychowywał się czas jakiś u Sobociny, a później w świat poszedł, party przez ogień nauki, który wnetrzności mu palił.—Tak być musiało, tylko autor za mały nacisk na to położył i Marcin Łuba, pozornie tylko w całym przebiegu dramatu stoi w sprzeczności z zarzuconem mu przez Kundę sknerstwem. Parę słów uratowało by tę niekonsekwencyę,



a śliczne dzieło Sewera i tej małej nie miałyby skazy.

Jaś wraca, w oczach starej nianki błyszczą łązy radości, Sobocina z córką biorą się do zrobienia porządku w chacie. Przelotna jednak chmurka osiada na czole Zosi—czy Jaś dzisiejszy, który na paniczka wyszedł, pokocha wiejską, prostą dziewczynę?—Ale wielka ponęta leży w urodzie Zośki, upewnia ją o tem zwierciadelko, lepiej jeszcze woda w dużym wiedeze, upewnia macierz, która córce nie każe skąpić zabiegów, dla pozyskania serca syna bogatego Łuby, boć przecie Łuba wiekować na ziemi nie będzie, zawsze coś synowi z bogactw starego Marcina dostanie się, czemu by nie stanęła przeszkodą druga żona bogacza, skromna, dobra, wychowana w klasztorze Ewa.

Jaś przybył—Zośka wyprawia z komory matulenkę, bo chce go sama przywitać i podbić od razu. I wita Janka i podbija od razu. Nie razi dziewczyny surdut miejski, ten Jasio jest dawnym Jasiem; do rozbudzenia się uczuć pomagają i wspomnienia dawne, śpiewają dawne piosenki, pocałunki dzwonią, szczęście w dłoń bije, Jaś poddaje się urokowi wiejskiej ciszy, z uczuciem szczerzego przywiązania wita Sobocinę, spracowane dłonie Kundy całuje, oddycha pełną piersią zdrowego, wioskowego powietrza.

Prześliczna sielanka!

Za chatą słychać gwar.

To śpieszy gromada z powitaniem.

W rzędzie kilkunastu gospodarzy typowo wyróżniają się Gofron i Maślanka. Gofron gwałtowny, lecz prawy chłop; Maślanka lis układny, mający na celu zawsze tylko interes własny.

Witają szczerze a serdecznie Jasia wsi gospodarze, witają go jako obrońcę swojego przeciw krzywdom doznany i wielkiej biedy wsi całej. Wychudłe twarze i brzuchy głodne mówią mu o tej biedzie. We wsi mieszka kat ich, krzywdziciel, na niego to szukają pomsty, przeciw niemu to każą Jasiowi stanąć.

Kto jest tym katem?

— A ociec twój—Marcin Łuba!—Gdy głód zawitał, nieurodzaj zawitał, on to niby z pomocą przybył ludowi. Na przednoku dawał pieniądze i zboże, w zastaw grunta zabierał, lichwiarskie liczył procenty, jak pajak opłatał w swe siecie, i wzbogacał się biedaków nędzą. Marzeniem Marcina Łuby było dojście do dwustu morgów ziemi. Dawał potrzebującym zapomogę, by potem ich ze skóry obdrzeć, i w taki sposób doszedł do bogactwa i znaczenia. Teraz wójt mu się kłaniał i proboszcz nieraz przestępował próg jego chaty.

Z pogodnego nieba grom upadł i uderzył w pierś Jasia.—Lecz to oszczerstwo! On nie chce wierzyć słowom ciemnego, zawistnego może tłumy. Nie wierzy słowom Sobociny ni potakiwaniom ślicznej swej narzeczonej, przeraża go zeznanie Kundy, ale i jej wierzyć nie chce.—Wtedy gromada przeciwko niemu się obraca, „i tyś taki jak twój ociec—naszą krzywdą chcesz się wzbogacić. Mówiłeś przed chwilą, że gromady się trzymasz, a teraz opuszczasz gromadę, bo pieniądze skradzione i zagrabiana ziemia przez ojca, twemi pieniędzmi i twoją ziemią będą.“

Niepewność jest w duszy Jasia, walczy, chwije się, wierzy i nie wierzy.

— Jeżeli prawdą to, co wy mówicie—przeciwko rodzonemu ojcu pójdę, bo prawda jest jedna; bronić was będę, bo obowiązkiem jest bronić biednych.—Ale—jeżeli kłamiecie... nie zapomnę nigdy wam tego—mówi.

I z temi słowami wybiega—domyślamy się dokąd.

Po skończonym akcie pierwszym od razu widzimy, że dramat na szeroką wbiegł drogę i całą siłą wypadków do ostatniego dojdzie kresu. Syn stanie przeciwko ojcu, jeżeli ociec jest katem ludu. Możeby wielka miłość dla rodzica wytrąciła oręż z rąk syna. Jan kocha ojca, ale miłością obowiązkową, wyrozumowaną;—serce tam mały udział bierze. To silniej może powinno być zaakcentowane w dramacie, zważając na krzywdy, jakich i Jan, dzieckiem będąc, od ojca doznał.

Dom Marcina Łuby nie wiele się różni od przeciętnej strzechy mniej więcej zamożnego kmiecia. Trochę może izba przestronniejsza i przed strojnziej ubranym obrazem Matki Boskiej lampka płonie. Okno otwarte wychodzi na ulicę, druga żona Marcina, Ewa, siedzi smutna na ławie i milczy. Ulicą przechodzi Jan—zatrzymuje się przy oknie i słyszy słowa macochy:

Trzy piękne córki było nas u matki,

A mnie najpierwszej żądano w zamęże...  
Wchodzi, zdumiony temi wyrazami.—Nie daje się poznać, nie mówi, że jest synem Łuby.

Mówi, że jest podróżnikiem zwiedzającym okolice, rozpytuje się o ludzkie miejscowym, o stosunku gromady do starego Marcina. Słowa, nie nie wiedzącej Ewy o postępkach męża, napawają radością serce Jana.—Więc ojciec nie jest winny, więc to tylko zwykła niechęć gminu do tych, którym fortuna sprzyja!

Ta radość i ożywienie Jasia zdradzają go. Ewa wita serdecznie, nazywa po imieniu,—lecz przyznaje, że ojciec zagniewany, i może nie zechce widzieć syna. Ona go uprzedzi, przekona...

Wtem daje się słyszeć zrzędczący głos starego Łuby...

— Ukryj się w altanie—mówi szybko macocha—wezwe ciebie, gdy wezwać będzie można.

Jaś się ukrywa—w białej sukmanie wchodzi stary Marcin, gderząc na jakies nieporządki gospodarskie. Od pierwszego wejścia, rysuje się wypukle na tle dramatu.

Parę scen przedstawiających pewien rozdzwięk w pożyciu małżonków—przepysznie jest napisanych i odegranych świetnie. Ale prawda—Łubą był Rapacki, Ewą—Barszczewska.—Stary Łuba burknie czasem na żonę, ale też i łatwo poddaje się wpływowi niewieści.

Chłop jest głodny, żona więc mu jedzenie przynosi. Gdy żołądek syty składniej wtedy wszelka rzecz idzie. Zaczyna więc Ewa mówić mężowi, że czytała w dziennikach o Jasiu. Uczy się, pracuje, jest już na uniwersytecie, o który:— „Co to za maszyna? pyta Łuba. Odpowiedź żony głasze trochę ambicję ojcowską. Hm! dzielny chłop, wykaraskał się sam, o własnych siłach na ludzi wyszedł... To mu się podoba—mógłby być z Jasia gospodarz dobry, gdyby do ojcowskiej zawitał zechciał zagrody—ale... cóż—książka mu w głowie!

— A gdyby wrócił?—pyta żona.

— Toć bym przyjął—przecie to mój syn.—

— Mówiono, że przyjeżdża?

— A kiedy?

— Już jest.

— Co?—gdzie?...

Ewa podbiega do drzwi i woła na Jasia—  
I Jaś przypada do nóg ojcowskich, a ojciec, widząc chłopca rosłego, wita go szczerze, bardzo szczerze.

Nie kamienne to było serce, lecz chłopskie serce,—nie tak na syna zagniewane jak na naukę, która mu dziecko wydarła. „Zostaniesz więc już tu“—mówi, ale Jan zostać nie może, musi wracać do księzek, z którymi już zerwać nie sposób.

— „Czegoż się tam uczysz?“

— „Prawa.“

Hm! to w sam raz, że syn Łuby prawa się uczy.

— „Mam teraz proces z gromadą, która, gdy bieda w oczy jej zazierała, brała zasilek w pieniądzech i zbożu, a teraz należności oddać nie chce!—ty mi pomożesz. I daje synowi do przepatrzenia papiery, w których zawiera się bogactwo Łuby, z których wyjrzą jego czyny niewiadomej jeszcze barwy.

Stary wychodzi—zostaje Jaś z papierami.

Do drżących rąk bierze papiery z podpisami prawnymi, drżącymi palcami je przewraca. I bliźniej czoło biednego młodzieńca, przed którym krzywdą jego braci siermiężnych w całej nagości staje.

Okropność!

Katem ludu jest ojciec rodzony.

— Patrz—woła do wchodzącej Ewy, — oto prawda—dla czegoś ty kłamała podemną?

Lecz Ewa nie wiedziała nic o postępkach męża.

Za chwilę oko w oko syn z ojcem staje...

Dwie prawdy walczą—prawda ogólnej moralności, której rzecznikiem jest syn Łuby, i prawda chłopska, za której słusnością przemawia podpiśnięty urzędnik.—Daremno Jan chce ojca przekonać, i piękną tyradę o znaczeniu krzywdy mówi—Łuba ma swoją własną filozofię, a krzywdy nie widzi, bo na umowach z gospodarzami zrobionymi—stoją pieczęcie i podpisy władzy. Na co temu tłumowi pieniądze i ziemia? Pieniądze przepije i ziemię przepije. Nie on, to drugi korzystać, gdy on jest przecie. Raz zaś zagarnawszy ziemię nie odda jej, syna się wyrzeknie, życie sobie odbierze, a ziemi nie odda!

Tak jest w rzeczywistości—to samo widzimy i w sztuce.

Ale Jan przekonać się nie daje.

— Nie twoje jeszcze—mówi ojciec, — ale jak będzie twoje, inaczej zagadasz.

I daje mu setkę rubli i morgów pięć, da więcej, byleby syn pozostał w domu i przeciw ojcu nie występował. Ale syn nie widzi punktu wyjścia—przy ojcu lub przeciw ojcu musi stanąć.— Przy ojcu nie może, opuścić zaś wieś i wyjechać, to znaczyłoby: opuścić gromadę, oddać ją w ręce krogulce, narazić się nawet na zarzut, że w znowie jest ze starym.—Siła okoliczności i sprawiedliwości poczucie każą mu iść przeciw rodzicowi.

Dramat popchnięty znów naprzód został, oczekujemy starcia się, przy którym, jak z chmur naelektryzowanych grom wypaść musi.

Proces rozpoczęty, Jan w domu Sobociny podanie pisze, idąc za głosem sumienia. Stary Łuba nie lęka się procesu, ma dokumenta pisane, a choć w nich krzywda ludzka spoczywa, prawo musi być za nim. Czerwona pieczęć daje chłopu pewność w moc prawa, ale z synem nie rad się zadzierać, chce zgodnie skończyć. Dodaje mu pieniądze i gruntów, o czym zawiadomiona Sobocina, nie dba już o krzywdę gromady. Córka doskonałą partyę robi, dokupią krowę, będą mieszkali jak u Pana Boga za piecem. Do ułagodzenia syna używa Łuba przebiegłego Maślanki, który za pokwitowanie go z należności, występuje już przeciw gromadzie i namawia Jasia, by ojca słuchał, a dobra się nie wyrzekał. I Zośka, naręczona Jana, nie widzi już także racji do sporu. Bieda zostanie wypędzona z ich chaty, a że tam ktoś inny z głodu przymiera, że ktoś poza plecyma jej krzywdzą—to już taka wola Pana Boga i koniec. Egoizm natur prostych występuje tu w całej sile, ten rys doskonale podchwycony i oddany został.

Więść o ustąpieniu gruntów na rzecz syna, obiega całą gromadę. Nie wierzą teraz w pomoc Jana, bo któżby się bogactwa wyrzekł? Zapytana o prawdziwość tej wieści Zośka, potwierdza mniemanie gromady; i w jej przekonaniu Jan postąpić inaczej nie może, bo skrzywdziłby ją, żonę swoją przyszłą.—Gromada staje z wyrzutami przed Janem, Kunda nawet pyta czy prawda jest to, o czym ludzie gadają?—I odpowiada nie Jan lecz naręczona Jana, nowy cios zadając w serce młodzieńca.

Lecz Jan od raz przedsięwziętej myśli nie odstąpi—rozpatrzywszy jeno sprawę całą lęka się, by procesowi nie przegrał.—Przypomnienie to przejmuje strachem gromadę, żądają pewności wygranej, a gdy Jan tej pewności nie daje, złożyczą mu i kłac gotowi.—Stary Łuba raz jeszcze staje przed synem i próbuje zgody, na swój tylko sposób zrozumianej,—a gdy Jan błaga o wynagrodzenie krzywd, wypędza go z domu, ze słowami:

— Zginiesz jak pies pod moim progiem—ty, który ojca do kryminału wpakować jesteś gotów.

Aż oto zjawia się woźny trybunału do Marcina Łuby z wyrokami po skończonym procesie. Stary Łuba przegrywa, musi oddać zagrabioną ziemię i krzywdy nagrodzić.

Gniew go porywa przeciw synowi i sprawiedliwości sądów. Do Krakowa pójdzie, do Wiednia pójdzie, ostatni grosz na ostatnią stawkę poloży, ale jednej pędzi ziemi nie odda.—I może prawowałby się jeszcze, ale jeszcze jeden dokument podaje mu woźny trybunału.



Co to?...

Za udowodnienie lichwy, pójdzie na Wiśnic—okuty w kajdany.

Ryk straszny wypada z piersi Łuby...

Wiśnic! kajdany!...

I kto go wiedzie w kajdanach tam?...

Syn!

Tu szczyt dramatu.

Rapacki w tej scenie rozpaczy Łuby, wściekłości, zgrozy i żalu po stracie bogactwa tyloletnią „pracą“ nabytego—jest potężny, jak rozpacz sama. Wartyście odżyła moc dawna, ta siła jego wielkiego talentu, który potrzebował odpowiedniej dla siebie roli, by z całą potęgą zabłysnąć. Łuba nie mógł być inny, innemi łzami płakać, nie mógł się miotać inaczej, straszny, okropny w swej boleści.

Wprost przerażająca jest chwila, gdy porwany topór rzuca się na syna. Zaslania go Ewa—i wtedy się rodzi myśl w głowie starego, że Jan—był kochankiem macochy. Wyczerpany z wściekłości i szału, pada jak stał na ziemię, i—dźwiga się po to tylko, by sadybę swoją podpalić, a samemu w stodole na belce się obwiesić.

Na wieść o tym straszny końcu, Jan wybiega.—Obosieczną jest sprawiedliwość, gdzie prawo moralne z prawem przyrodzonym spotkać się musi. Jan ochronił gromadę od ojca krzywdziela, lecz stał się zabójcą ojca.

Gmin nie pojmuje subtelności uczuć; Jan pocięszy się prędko, boć przecie jest jedynym spadkobiercą bogactw rodzica. I w chwili gdy słyhać rozpaczne wołanie Jana: „Zabiłem ojca!“—tłum wita go okrzykiem, jako nowego dziedzica, najzasobniejszego gospodarza we wsi.

Ale Jan nie może dotknąć skarbów ojcowskich. Oddaje wszystko macosze—i w świat idzie.

Od początku do końca dramat się posuwa z właściwą szybkością. Nie masz scen zbytecznych, wahań się żadnych, wszystko się łączy, wiąże i z siłą koniecznościową łączy do katastrofy. Gdyby większe umotywowanie było wspomnianego sknerstwa Łuby, gdyby nie parę monologów frazeologicznych Jana o znaczeniu cywilizacji,—gdyby uczucie, jakie rzeczywiście zrodzić się musiało dla Ewy, odrobinę silniej zostało zaakcentowane—dramat Sewera i spółki należałby bezwarunkowo do tych, których chrzcimy mianem arcydziel.

Ależbo i artyści nasi grali!—O Rapackim mówiliśmy, w trudnej roli Jana Nowicki nie pozostawiał nic do życzenia, wyśmienitą była Micińska w roli Kundy, wybornie pojął rolę przebiegłego Maślanki Wojdałowicz, Barszczewska i Borkowska grały bez zarzutu, nawet Bolesławski w roli Gofrona stworzył typ doskonały. Junosza jako Zośka równie umiejętnie wywiązała się ze swej roli, a i pan Owerłło w roli wesołego parobczaka ożywił nie mało ponure tło dramatu.

K. Gliński.

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Około południa znowu wracaliśmy w stronę Malagi, ale wracaliśmy inną drogą, niemniej malowniczą od poprzedniej. Chodziło o to, ażeby po drodze zwiedzić miejscowy cmentarz, który—jak nas zapewniano w pałacu p. Heredii—jest godny obejrzenia. Jakoż nie rozczarowaliśmy się tym cmentarzem, szkoda tylko, że go oglądaliśmy całą gromadą, w trzydziści osób, co wprawdzie ułatwiało kontynuowanie *flirtu*, rozpoczętego w owym zaczerpniętym Edenie, ale psuło melancholijny nastrój tego *Campo-Santo*. Bo przyzna każdy, że nawet sam Hamlet nie potrafiłby

przejąć się smutkiem cmentarza, gdyby po nim, zamiast w towarzystwie „szlachetnego Horacego“, musiał błądzić, jak ja, w otoczeniu liczego, rozbawionego i rozflirtowanego towarzystwa. Bynajmniej nie starającego się harmonizować z rzewną poezją cmentarza. Choćby ten cmentarz był tak poetycznym nawet, jak to *Campo Santo*, po którym spacerowaliśmy obecnie!... Bo jest to jeden z najpiękniejszych cmentarzy, jakie mi się widzieć zdarzyło. Położony na wzgórzu, otoczony wysokim murem, tem się różni od innych „miejsc wiecznego spoczynku“, że—jak w ogóle cmentarze hiszpańskie—nie posiada mogił, ani nagrobków. Hiszpanie gdy „po długich i ciężkich cierpieniach“ w końcu „przeniosą się do wieczności“, najczęściej bywają chowani przez swych „w nieutulonym smutku pograżonych“ ojców, mężów, wnuków, etc. nie w ziemi, lecz w katakumbach, a katakumby te—o ile mogą wnosić z cmentarza w Maladze—tem się różnią od naszych powązkowskich, że, pozbawione arkad, są wystawione na operację słońca. Nie jest to bez przyczyny niezawodnie. Co pewna, to to, że cmentarz w Maladze, posiadający niewielką ilość nagrobków (te jednak, które są, są bardzo ładne, jako należące do najzamożniejszych rodzin miejscowych), ale za to będący przepyszny ogrodem, pełnym palm, cyprysów, aloesów, mirtów i drzew pomarańczowych, jest nietylko przeslicznym, ale posiada jakiś szczególny wdzięk, który raczej nastraja pogodnie, niż smutnie. Być może, iż w dzień pochmurny, pod niebem szarem i dżdżystem, jest tak smutnym, jak inne cmentarze, ale w dzień słoneczny, pod turkusowym sklepem nieba, przy wesołym świegocie ptactwa, nie robił wrażenia „przybytku umarłych“. Owszem, robił wrażenie wesołego przybytku żywych, którzy rozproszywszy się po całym cmentarzu—przeważnie parami—zdawali się zapominać często, że chodzą pomiędzy trumnami, pomiędzy szkieletami i popiołami, że te szkielety, dopóki tu nie przyjechały na czarnym karawanie, także flirtowały, kochały się, rozpaczały, kosztowały słodyczy i goryczy życia. O tem zdawał się nikt nie pamiętać! Co do mnie, to, przechadzając się wzdłuż tych długich katakumb, pełnych marmurowych tablic, napisów, oszklonych wgłębień, często osłoniętych blaszanymi daszkami, a w których za szybą spotykało się fotografie zmarłych, sztuczne kwiaty, obrazki świętych, krzyżyki, różańce, etc. także niezawsze myślałem o umarłych wyłącznie, o tych, co tu spoczywali. Myślałem i o żywych, a przedewszystkiem o *mademoiselle Sophie*—jak zacząłem nazywać moje *vis à vis*—która w cieniu parasolki koloru *crème*, na tle alabastrów i egzotycznej roślinności cmentarza, była taka śliczna, że się wierzyć nie chciało, ażeby i takie uroczestwo stworzenie mogło umrzeć kiedyś, obrócić się w proch, a przedtem stać się przysmakiem „całego kongresu robaków“, jak mówi Hamlet. Refleksja ta, której zresztą nie myślę odmawiać banalności, nasunęła mi się przy jednym grobie zwłaszcza, a raczej przed jedną tablicą z białego alabastru, która, wmurowana obok tysiąca innych, a przesłonięta szybą i koszem *świeżych* konwalii, zawierała tylko jedno imię *Maria*, wryte złotymi literami. Nic więcej! A jednak napis ten, choć taki krótki, choć nawet nie podawał nazwiska owej Maryi, wydał mi się dziwnie wymownym. A patrząc na ten kosz *świeżych* konwalij, widocznie zmienianych codziennie, miałem wrażenie, że ta biała alabastrowa tablica jest strasznym epilogiem jakiejś tragedji, że ta *Marya* musiała być młodą i piękną, kiedy umarła, a umarła, kochając i będąc kochaną, umarła w najpiękniejszej wiosnie życia, może w przeddzień ślubu, albo po krótkich dniach szczęścia i upojenia. Umarła, ale ten, którego kochała, nie zapomniał o niej. Dowodem te *świeże* konwalie... Można by cały poemat wysnuć z tej alabastrowej tablicy! Równie dobrze jednak, jak taki poemat, który by musiał być podobny do Słowackiego *W Szwajcaryi*, można by napisać wesołą humoreskę na temat powabnej pani Stone, która, chodząc po cmentarzu, tak dalece uczuła się zmęczoną po pewnym czasie, że w końcu nie odmówiła swemu wielbicielowi z nad Sekwany,

który jej zaproponował swoje ramię. Przyznając, że kiedyś ich zobaczył idących pod rękę, omal nie parsknąłem śmiechem, bo w tejże chwili przypomniał mi się pan Stone, który z pewnością ani przeczuwał, co się święci... Ja przeczuwałem i dlatego raz po raz przypominał mi się wykrzyk Hamleta: *Frailty, thy name is woman!* Nie przypuszczałem tylko, że i Angielki nie stanowią wyjątku pod tym względem. Za to moje *misczki* nie dostrzegały nic, gdzie ja wietrzyłem niebezpieczeństwo, grożące panu Stone. *O sancta simplicitas!*

W godzinę potem całe towarzystwo nasze siedziało przy *table d'hôte* w *Fonda de Roma*, który jest pierwszym hotelem w Maladze, a siedzieliśmy w ten sposób, że panowie „przeplatali“ damy, co należy tłumaczyć sobie w ten sposób, że płochy flirt, rozpoczęty w owym zaczerpniętym ogrodzie p. Heredii, przeszedłszy przez ogniową próbę cmentarza, nie osłabł w czasie tego wytwornego *dejeuner*, które spożywałem w tej chwili. Owszem, nietylko nie osłabł, ale wzmógł się na sile, zwłaszcza, odkąd wino zaczęło wysychać w karafkach. Pod koniec śniadania, kiedy przyszła kolej na czarną kawę i likier, zaprował taki humor dokoła stołu, że się zaczęło ciskanie pigułkami z chleba,—poczem zaczęto się obrzucać skórkami od pomarańcz... Wszystkie policzki zarumieniły się, oczy poczęły płonąć, a krew, zaogniona mocnym winem hiszpańskim i *chambre*, zaczęła szybciej krążyć w nabrzmiałych żyłach. Zaczęły krążyć dowcipy, od których co chwila cały stół trząsał się od śmiechu, a które, prawie wszystkie były tego rodzaju, że o ile je rozumieli mężczyźni i kobiety starsze, o tyle moje *misczki*, (pomiędzy którymi siedziałem) nie mogły zrozumieć, z czego są tak wszyscy śmieją, nie wyłączając ich matki. Bo pani Stone, siedząca przy swym wielbicielu, w którego towarzystwie zdawała się bawić doskonale, śmiała się niemniej, niż inne damy; tymi zaś, którzy całe towarzystwo najbardziej pobudzali do śmiechu, była czwórka naszych Francuzów, prawdziwie „hultajska“ czwórka, która rozbiwszy się w ten sposób, że każdy siedział przy innej damie, emablując ją niezależnie od swych kolegów, stała się niewyczerpanym kołczanem dowcipów i anegdot w stylu *Journal amusant*, opowiadanych z istic francuską werwą, a mocno zaprawnych nietylko solą atycką, ale i pieprzem—paryskim. Tylko dwaj Anglicy—szachiści siedzieli poważnie, jakby słuchali kazania.

Tak upłynęła dobra godzina, poczem w brylantowych humorach wsiedliśmy do całego szeregu powozów i dorożek, stojących przez hotelem, i pojechaliśmy—znowu całą kawalkadą—do słynnych zakładów winiarskich Bodegi, które na cały świat rozsyłają owo smakowite wino hiszpańskie, znane pod nazwą *Malagi*. Obejrzenie tych zakładów, jako największej osobliwości miejscowej (obok katedry), specjalnie nam polecono w *Fonda de Roma*, że zaś w całym towarzystwie naszym nie znalazł się nikt, co by nie miał ochoty napić się malagi w Maladze, więc pojechaliśmy wszyscy, nawet nasi niemi Anglicy—szachiści. I nie rozczarowaliśmy się! Bo tak olbrzymich składów win, tak ogromnej liczby beczek większych i mniejszych, nie widuje się codziennie. A przytem właściciel czy główny dyrektor tej wielkiej fabryki, (która się jednak tem różni od innych fabryk win, że wyrabia prawdziwą malagę), okazał się tak uprzejmym, że nas nietylko oprowadzał po wszystkich gmachach i dziedzińcach tego olbrzymiego zakładu (podobno największego w całej Hiszpanii), pokazując każdy oddział z osobna, oddział, gdzie robiono beczki, oddział, gdzie kuto obręcze, oddział, gdzie wytłoczano winogrona, oddział z olbrzymimi kadziami, w których wino fermentuje, oddział z olbrzymimi kotłami, w których się wino gotuje, oddział z filtrami, w których wino filtruje się po przegotowaniu, i wiele, wiele innych, ale okazał się tyle uprzejmym, że nie zrażając się znaczną ilością osób, prosił nas, żebyśmy kosztowali różne gatunki win. Oczywiście, że nikt nie odmawiał, a że nas częstowano tylko najlepszymi gatunkami, które są mocne, więc się



to kosztowanie różnych rodzajów win, pitych jedno po drugim, skończyło na tem, że humory nasze, i tak podniecone po sutem śniadaniu w *Fonda de Roma*, poprawiły się jeszcze o kilka stopni wyżej: mężczyźni, którzy, kosztując, nie poprzestawali na „umoczeniu ust,” ale niejednokrotnie wypijali po całym kieliszku danego gatunku wina, zaczęli nietylko dowiepkiwać, ale i śpiewać, a damy, które, jako istoty *slabe*, posiadają znacznie *slabsze* głowy, aniżeli my, poczęły się uskarżać na zbyt gorąco, zapominając, że im tak gorąco było—w lodowni, (do której słońce nigdy nie ma przystępu, a temperatura nigdy nie przechodzi 10 stopni Reaumur'a. Kto także robił wrażenie, że mu malaga smakuje, to nasi dwaj „gluchoniemi“ Anglicy, o których przekonał się teraz, że kiedy nam wino szło do głowy, co się objawiało w postaci podnieconego humoru, to im szło w nogi, co się objawiało w ten sposób, że kiedyśmy w końcu wyszli z piwnicy, nasi Anglicy poczęli się zataczać z lekka... Co do mnie, to lubo nie zataczałem się, czułem jednak, że wino pomarańczowe, które mnie i moim paniom smakowało szczególnie, nie na żarty szło do głowy, a na język np. oddziaływało w ten sposób, że może nigdy nie przychodziło by mi tak łatwo mówić po angielsku, jak w tej chwili, kiedyśmy, opuściwszy zakłady Bodegi, jechali do katedry.

O katedrze tej, jednej z największych w Hiszpanii, co nie znaczy bynajmniej, żeby była jedną z ładniejszych, muszę powiedzieć to przede wszystkim, że ją widziałem, jak za mgłą, t. j. przez pryzmat wypitej malagi, która, jak wiadomo, przezroczystą nie jest. Na moje szczęście, nietylko ja mogłem i musiałem to powiedzieć o sobie; okazało się bowiem, żeśmy wszyscy, „jak jeden mąż,” z zakładów Bodegi wyszli pod dobrą datą. Na razie nie czuliśmy tego, ale wyszedłszy na świeże powietrze—po blisko godzinnej wizycie w lodowni—takeśmy się czuli *odurzeni* tem świeżem powietrzem, że kiedyśmy nareszcie zajechali przed katedrą, nie jeden wolałby nie wysiadać z wygodnej doróżki, rezygnując nietylko z wnętrza katedry, które się okazało nieciekawe, ale i z wieży, z której nam obiecywano nadzwyczajny widok na całe miasto i okolice. Nie wiem, czy dlatego, że nogi ciężły wszystkim, a wieża okazała się dyabło wysoka, czy też, że wogóle nie jestem zbyt wielkim amatorem widoków z wież kościelnych, ale nie byłem zachwycony widokiem z tej wieży: ostatecznie wiedziało się z góry, że się zobaczy mnóstwo kominów i dachów, z trzech stron okolonych zielonemi górami, a z czwartej—morzem, na którym poznaliśmy nasz okręt, stojący w środku portowej zatoki. Gdyby nie kulawy żebrak, który nic nie dostawczy na dole, zawłókł się za nami, aż na sam szczyt wieży, gdzie się dobrze obłowił w końcu, bo wszystkich zabawił tą swoją wytrwałością w natręctwie, moglibyśmy ten czas, poświęcony na męczące wejście i zejście z tej wieży katedralnej, uważać za stracony. Ale żebrak uratował sytuację, bo takich żebraków kulawych w dodatku, co by dla kilku nastu miedziaków fatygowali się, aż na wieżchołek jednej z najwyższych wież kościelnych, nie spotyka się codzień, nawet w Hiszpanii.

Ferdynand Hösick.

## Z bieżącej chwili.

— Ministeryum oświaty poruszyło ponownie kwestyę ustanowienia specjalnych znaków do noszenia na piersi dla skończonych studentów uniwersytetu na wzór takichże znaków zaprowadzonych w innych wyższych zakładach naukowych, jak w instytucie inżynierów komunikacji, górniczych, technologów.

— Do Petersburga wyjechało liczne grono malarzy dekoratorów warszawskich dla odnowienia tamtejszego katolickiego kościoła św. Katarzyny. Nadto kilku artystów malarzy warszawskich wykończyła obrazy, przeznaczone dla tejże świątyni. Koszta restauracyi obliczone są na 120,000 rs.

— Inspektorką instytutu medycznego dla kobiet w Petersburgu mianowana została p. Sienawinowa, wdowa po rz. radcy stanu, która pełniła dotąd obowiązki przy wyższych kursach żeńskich.

— Towarzystwo wyścigów konnych występuje do władzy wyższej z petycją o wyjednanie stałego placu na urządzenie dorocznych wystaw inwentarza, rolniczych i t. d.

— Dnia 16 z. m. zmarła w Krakowie jedna z najwybitniejszych polskich przedstawicielek sztuki dramatycznej ś. d. Antonina Hoffmanowa. Urodzona w r. 1841, kształciła się początkowo u Królikowskiego, a następnie w warszawskiej szkole dramatycznej. Karyerę sceniczną rozpoczęła w 17-ym roku życia na deskach teatru warszawskiego. Po jednorocznym pobycie w Warszawie przeniosła się na scenę krakowską, na której pozostawała do ostatnich chwil pracowitego swego żywota. Po objęciu dyrekcji teatru krakowskiego przez St. Koźmiana była główną podporą repertoaru tak klasycznego, jak i współczesnego komedycznego francuzkiego. W tym ostatnim zwłaszcza rodzaju sztuki scenicznej była ś. p. Hoffmanowa niedoścignioną. Zmarła znaną była również publiczności warszawskiej, gościła bowiem dwukrotnie na scenie naszej. W pogrzebie jej, który się odbył w Krakowie wzięły udział tłumy publiczności, której zmarła przez tak długie lata dostarczała tyle wrażeń artystycznych.

— W Krakowie nastąpić ma niebawem otwarcie „Muzeum Matejkowskiego.“ Dzięki ofiarności artystów polskich i zagranicznych, którzy nadesłali wielką liczbę obrazów na zasilić mającą fundusze projektowanego muzeum tombole, myśl powzięta przez wielbicieli talentu zmarłego mistrza, będzie mogła być w niedalekiej przyszłości urzeczywistnioną.

— W Monachium odbyła się w tych dniach uroczystość zarczyń panny Brandtówny, córki znakomitego naszego malarza p. Józefa Brandta z artystą malarzem p. Siestrzeńcewiczem.

— Nowopowstałe we Lwowie towarzystwo pod nazwą „Związek rodzicielski“ otworzyło trzy domy opieki pozaszkolnej, w których działo od godz. 3-iej popołudniu do 7-iej wieczorem czyta, bawi się, je, przechadza, gimnastykuje i t. p. pod okiem nauczycieli.

— Profesor Crehore, dyrektor departamentu elektrycznego w Dartmouth College obmyślił nowy aparat umożliwiający telegrafowanie po 3,000 słów na minutę. Wynalazek ten pozwala nietylko na przyjmowanie tak długich depesz, lecz nawet na automatyczne ich notowanie.

— Londyńskie katolickie Towarzystwo muzyki kościelnej zwróciło się do tutejszego Towarzystwa muzycznego z prośbą o nadesłanie Mszy Moniuszki, uznanej przez znawców za utwór w tym rodzaju najcenniejszy. W odpowiedzi wysłano Mszę tak zwaną „Piotrowską“ z tekstem J. Wojewódzkiego.

— W Ameryce istnieje miasteczko, którego wszyscy bez wyjątku mieszkańcy są kawalerami. Miasto to nosi nazwę Aliceton, liczy 1,000 mieszkańców, ma szkołę, kościół, biuro pocztowe i słynne jest na całe Stany Zjednoczone z wyrobu serów. Ani jedna kobieta od czasów założenia miasta nie przestąpiła jego bram. Miasto to powstało jednak bardzo niedawno, bo dopiero przed trzema laty.

## KOMITET

### Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych

W KRÓLESTWIE POLSKIM

podaje do wiadomości p. p. artystów malarzy i rzeźbiarzy, iż stosownie do § 1 regulaminu corocznych konkursów Towarzystwa, w miesiącu Lutym r. 1898-go odbędzie się konkurs malarstwa i rzeźby.

Na konkurs kwalifikują się dzieła, wykonane w ciągu lat 3 ostatnich, jeżeli nie były umieszczane na Wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, mianowicie z działy malarstwa: obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki i z działy rzeźby, wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa.

Za dzieła konkursowe, mające istotną wartość artystyczną przeznaczone są nagrody pieniężne, w dziale malarstwa trzy, mianowicie: rubli 400, 200 i 100 i w dziale rzeźby, dwie: mianowicie 400 i 200.

Nie kwalifikują się na konkurs wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych.

Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przysłać należy przed 3 Stycznia 1898 r.

W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne.

Prace konkursowe nadesłane być winny do lokalu Wystawy Towarzystwa najpóźniej do dnia 3 (15) Stycznia 1898 r. do godziny 3-iej popołudniu.

Koszt transportu dzieł konkursowych, par petite vitesse nie przynoszących wagi 10-ciu pudów i opłatę cła od przesłanych z zagranicy o ile dzieła te zostaną przyjęte przez cenzurę rządową i delegacyę Sądu konkursowego ponosi Towarzystwo, za wyłączeniem cła od rzeźw w bronzie.

Regulamin szczegółowy konkursu na żądanie wysyła franco lub wydaje na miejscu bezpłatnie kancelarya Towarzystwa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 7-my T. I, powieści p. t. *Marzenie*, przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego.

**Treść:** Czy lepiej?... przez Mieczysława Glińskiego.—Pierwszy zjazd kobiecy w Czechach (dalszy ciąg).—Noc świętojańska, przez Artura Oppmana.—Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Teatr, przez K. Glińskiego. — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 7 T. I. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 35 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.